

Druga konfederacja

Franciszek Piątkowski

GDYBY NIE BARTOSZE

STOIMY na szkolnym placu.

Jest nas na pewno ponad tysiąc. Tylko o tysiąc mniej niż liczą całe Tyszowce. Dane dotyczące mieszkańców Tyszowiec mam od Wiesławy Rabiegi z Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego w Zamościu. Aktualne bez najmniejszych wątpliwości i w tym samym stopniu pewne: 2185 osób w dniu 4 października 1984 roku.

Plac szumi jak pszczeleli rój przed gorącą nocą. I noc ta będzie gorąca. Tak wynika z programu I Zjazdu Absolwentów Liceum Ogólnokształcącego w Tyszowcach. Punkt dziewiąty na sobotę zapowiada bowiem, że od godziny 18.15 wieczorem do godziny 5 rano odbędzie się „Spotkanie absolwentów i gości z pedagogami i władzami regionu, gmin, prezentacja dorobku artystycznego szkoły, wieczór wspomnień i kolacja oraz zabawa taneczna”.

Dookoła placu, za drucianą siatką, stoją widzowie. Patrzą. W niedzielę rano, na przykościelnym cmentarzu dowiem się, że „ludzi było, a ludzi. Najpierw się całowali, a potem płakali”, Tak mówiła staruszka do staruszka. Ludzi, a ludzi rzeczywiście — było. Jeżeli absolwent chciał wziąć udział w zjeździe — wpłacał tysiąc złotych. Do kasy wpłynęło 900 tysięcy. Plus władze. Plus prasa, radio i telewizja z redaktorem Kurkiem od „Kraju za miastem”. Plus grono pedagogiczne. Plus uczniowie. A więc jest nas, stojących na placu, na pewno ponad tysiąc.

— Nowa konfederacja, bracie, nowa konfederacja — mówi do mnie jakiś.

Masz ci go! Szlachcic mazowiecki, kiedy pisał do papieża zastrzegł, że „nie piszę Ci bracie, bo nie wiem czyś ślachcic”, a ten mi brat-konfederat. Poznać, że z Tyszowiec, bowiem słusznie ustaliła przed laty w „Polityce” Barbara Pietkiewicz, że „z rasy tyszowianie są piękni. Twarze — jak z kościelnego fresku przedstawiającego konfederatów: sprytne i namaszczone, albo coś tatarskiego — czarny włos, skośnawe oko...”

— Zgadza się.

— Co?

— Z tą konfederacją, czy jak ci tam.

— Bartosz jestem. Andrzej Bartosz. Stąd.

Masz!- Okazuje się, że stąd jest Andrzej Bartosz, reporter ze znakomitej trójcy radiowych reporterów w składzie Bartosz—Janicki—Piotrowski. O czterysta kilometrów stąd w Białymstoku, robili swoje „teatry naturalne” i naigrawali się z głupstwa. Dzisiaj Tomasz Piotrowski jest w Kanadzie, Wiesław Janicki przeniósł się do łomżyńskich „Kontaktów” a Bartosz pisze „W Jezioranach” i chwilowo przebywa w rodzinnych Tyszowcach. Tyle ustaliłem jednym uchem, podczas gdy drugim wsłuchany byłem w referat o konfederacji tyszowieckiej wygłaszany przez studentkę historii z Uniwersytetu Wrocławskiego, absolwentkę liceum w Tyszowcach, Elżbietę Bartosz.

Potem, w Lublinie, w dwa dni po zjeździe powie mi docent doktor Mieczysław Kowalski z UMCS, że gdyby nie Bartosze, to i tym razem ze zjazdu byłyby nici. Bo był tam także Ryszard Bartosz, młodszy od Andrzeja i starszy od Elżbiety.

GDYBY NIE SZEWCY

Inżynier Czesław Chabros, przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego w Zamościu składa do mikrofonu obietnicę. Słyszą ją ci z placu, obecna tu władza miejscowa i ci zza drucianej siatki. Że w Tyszowcach będzie cukrownia. Dokładnie „po południowej stronie drogi z Tyszowiec do Hrubieszowa”. To ważna obietnica.

Właściciel tyszowieckiej kwiaciarni powiedział kilka lat temu reporterce z „Polityki” że „pójdzie z torbami”. Bo gdyby tu był przemysł — uzasadniał — to „kupiono by kosz gerber na imieniny dyrektora”.

Minęło kilka lat. Inżynier Chabros informuje, że wśród zgromadzonych na placu jest dyrektor cukrowni w budowie. Oklaski. Dodaje, że inwestor będzie partycypował w rozwoju Tyszowiec, że zmieni się układ komunikacyjny, bo z Werbkowic do Tyszowiec pociągnie się linię kolejową, że doprowadzi się gaz ziemny z Komarowa i że będzie dom kultury. Oklaski. Przed inżynierem Chabrosem „była przy głosie” Wiesława Rabiega. Mówiła, że wartość środków trwałych na 1 kilometr kwadratowy jest o połowę niższa w województwie zamojskim w porównaniu z uposażeniem „średniego” kilometra kwadratowego w Polsce. Że licząc „na mieszkańca”, produkuje się tu półtorej tony zboża, a w kraju prawie trzy razy mniej. Że co dziesiąty kilogram cukru pochodzi z Zamojskiego. Że w gminie Tyszowce uzyskuje się dwa razy więcej zboża i żywca z hektara niż gdzie indziej w województwie.

Za co więc te oklaski? Za to, że przez kilkadziesiąt lat trzeba było wywozić buraki z Zamojskiego czort wie gdzie i jak daleko? Że koszt transportu pożerał zysk na cukrze? A przy tym nie chodzi tu o setki czy tysiące ton. Raczej o ponad, dziesięć tysięcy.

Więc może plac klaszcze, bo zna ustalenia i okoliczności ustaleń B. Pietkiewicz? Że „tak niewiele do przemysłu brakowało”, bo „władze chciały postawić cukrownię. I tyszowianie się na to nie zgodzili, bo nieużytki — własność wspólnoty, rzecz święta, nie na zaprzepaszczenie. Więc cukrownię zbudowano w Werbkowicach na czarnoziemiu”.

Więc to ci głupi tyszowianie, choć o twarzach sprytnych i namaszczonech, dopuścili do wybudowania cukrowni na czarnoziemiu, tak? Więc to przez nich wybudowano potem cukrownie w Łapach, gdzie buraków nie ma, tak? Przez to że własność wspólnoty to rzecz święta, tak? I tak i nie tak.

Na sześćsethektarowym nieurodzaju od wiek wieków wypasano krowy z całych Tyszowiec, a krowa w Tyszowcach to była nie tylko mećka, co dawała mleko. Nie tylko karmicielka, jak to określił docent Kowalski. Ona dawała także skórę na buty, na słynne tyszowiaki. W takich butach były się polskie wojska pod Grunwaldem. Król Władysław Jagiełło zamówił parę tysięcy tych butów, o czym mówi dokument. Na takie buty wystawił tyszowieckim szewcom przywilej Władysław IV. a potwierdził go August III Sas. I to nie była drobnica, ale masówka. Kiedy po II wojnie, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych UB otoczył Tyszowce i przetrząsnął je dokładnie, uzbierało się czterdzieści samochodów skór. To dopiero wtedy zamilkło w Tyszowcach codzienne, przeciągłe

„wyganiaj” i sześćsethektarowy nieurodzaj stał się nim naprawcie. Ale tyszowianie jeszcze przez lata liczyli, że może na powrót dany im będzie przywilej robienia butów.

GDYBY NIE CZERWIEN

Wiesława Rابيةga dała mi do myślenia dwa razy. Po raz pierwszy przy cukrze, a po raz drugi, gdy wywołała ducha. Dosłownie powiedziała, że „duch dziejów powinien znaleźć swój ślad w izbie pamięci, albo w rezerwacie archeologicznym” i ochrzciła go jako „Grody Czerwieńskie”.

Przypominam, że było to w sobotę, 6 października, 1984 roku. W tysiąc trzy lata później od daty, pod którą Nestor, ruski kronikarz zapisał, że „ide Wołodimir k'Lacham i zają hrady Czerwień i ini hrady”.

Gdzie te „hrady” są?

Szukali ich historycy polscy, rosyjscy, ukraińscy i radzieccy. Jeden mówił, że nad Stryjem; drugi że nad Dniestrem; trzeci, że w Chełmskiem; piąty, że w Lubelskiem. W końcu dogadali się prawie i prawie zgodnie orzekli, że są one we wsi Czermno, nad Huczwą, w województwie zamojskim. Zasłużony dla polskiej i lubelskiej archeologii docent Jan Gurba zapisał: *„Cały kompleks osadniczy Czerwienia (stanowiącego we wczesnym średniowieczu bez wątpienia miasto), usytuowany po obu stronach Huczwy i Siniuchy, zajmuje powierzchnię 40 ha (...) Od południa bronił go wał ziemny... odcinający cypel leżący w widłach podmokłej doliny Huczwy i Siniuchy. Ze stanowiskiem tym, noszącym nazwę „Mieścisko” miejscowa legenda łączy początki niedalekiego miasteczka Tyszowce, które po zniszczeniu zostało przeniesione na swe obecne miejsce”.*

No, to jesteśmy w domu.

W domu Bartosów, rodziców Elżbiety, Ryszarda i Andrzeja jemy dania rybne i mięsne, pijemy wódkę i kawę. Przepija do Bartosów pułkownik MO, Lucjan Żukowski, który skończył tyszowieckie liceum, pracował w Stołecznej Komendzie, odszedł na emeryturę, no a teraz jest na zjeździe. Przepija redaktor Kurek, który przyjechał, żeby zjazd nakręcić. Przepija Edek Jabłoński z „Jezioran”, który przybył, aby zjazd uświetnić. Przepijam i ja, kiedy Bartosze oznajmniają uroczyście i zaciekle, że taki Biskupin to małe piwo w porównaniu z Grodami Czerwieńskimi i z wódką, jaką my pijemy.

— Bez przesady, wódki mało.

— Ale z Grodów Czerwieńskich musi być duża sprawa. Taka na cztery fajery, bo to jest taka sprawa!

— No to niech będzie. Na zdrowie. Wasze!

I śpiewamy:

W jednym mieście
A w Tyszowcach
Wielki bogacz żył
Ożenił się z Sury Ryfki
I z nią dobrze żył.
Tylko im to przeszkadzało
Za co jemu wyżyć miało
Po co i na co

On wódki pił.

I, psiakrew, niepotrzebni«, bo Ryszard wyciąga wiersze Arnolda Słuckiego.

GDYBY NIE CMENTARZE

Arnold Słucki urodził się w Tyszowcach. Jak on się rzeczywiście nazywał? Zaraz, zaraz... Tego dowiem się późną nocą, w domu u Hipolita Węgrzynowicza, emerytowanego nauczyciela i działacza ZNP. To on zaprosił do Tyszowiec Słuckiego na pięćdziesięciolecie związku, żeby się sobie przypomnieli: Tyszowce i Słucki. Rodzice poety mieszkali tam, gdzie dzisiaj Bochenkowie, przy ulicy Kilińskiego. Ojciec pracował w żydowskim banku i nazywał się Kleiner, a Arnold wyróżniał się w szkole inteligencją i subtelnością.

Po latach napisał: „Huczwo, Huczwo, zielona rzeko / pieśni mojej kołysko. / Szuwary, świerszcze, trzmielce, / moi nauczyciele”. I to on przypomniał, że na „cmentarzu żydowskim w Tyszowcach” — „deszcz chodzi o lasce spacerkiem po długich chodniku / ułożonym szeregiem z zatartych żydowskich pomników”.

Łucjan Żukowski, z którym tylko trochę dogadałem się o przeszłości najbliższej — otworzył się bez reszty na przeszłość dalszą i najdalszą.

— Bo to encyklopedia tyszowiecka — zapewniał Andrzej.

I poo-szli. W przeszłość.

No więc Grody Czerwieńskie niewątpliwie zrujnowali Tatarzy. Niewątpliwie w 1803 roku pożar zrujnował miasto. W siedemdziesiąt dwa lata potem to już nie było miasto. I nie jest. Dlaczego? Dlatego, że kiedy powstańcy styczniowi uchodzili po przegranej do Galicji — a granica była przecież tuż-tuż — to mieszkańcy Tyszowiec wyszli do nich procesją, że swoimi świecami. Bo jak zapisała reporterka „Polityki” — „na wielkie święta najsilniejsi chrześcijanie nieśli w Tyszowcach pięciometrowe świece po 50 kilogramów każda. Żyd objeżdżał okolice i kupował wosk do wyrobu. Biły dzwony, świece płonęły, wosk lał się na granatowe czapki maciejówki (...) Szewcy nieśli świece ustrojone wieńcami, szli i wiedzieli, że okolica nie sięga do pięć królewskiemu miastu Tyszowcom, które prawa miejskie dostały od króla (...)”.

Zgadza się. No, powiedzmy, że nie wszyscy chrześcijanie nosili świece, bo Ukraińcy to chodzili do cerkwi, a do kościoła — to Polacy. No i dodajmy, że prawa miejskie dał Tyszowcom król, a odebrał je za popowstaniową procesję car. Teraz już wszystko się zgadza. A co było dalej?

W 1941 roku na żydowskim kirkucie Niemcy rozstrzelali radzieckich jeńców. Tych z obozu na polu w Mikulinie I, gdzie zjedzone zostało każde źdźbło, gdzie miedze zostały wygryzione po ostatni korzonek. To Niemcy zniszczyli ten kirkut, a z kamiennych pomników ułożyli chodnik. I to o tym cmentarzu — chodniku napisał Arnold Słucki: „Następuję na ręce kamienne pobożnym Lewitom, / Alfom i Betom, imionom, baśniom przeklętym i bytom, / pieśniom — halucynacjom i Babały mistycznym febrom (...)”. I to dlatego zaklinał: „Żydowskim cmentarzem nie chodź, moja miła, nocą, / kiedy się cienie z cieniami na ziemskiej kuli szamocą (...)”.

ŻEBY ŚWIECE NIE ZGASŁY

Nie ma dzisiaj cmentarza-chodnika i nie ma cmentarza-kirkutu. Nie ma cerkwi prawosławnych i nie ma tej najpiękniejszej, unickiej. Nie ma drewnianego kościoła. Jeżeli ziemia mówi prawdę, że szły Tyszowce w ruinę siedem razy. Przez tyle warstw trzeba się przekopać w niektórych miejscach przy głębieniu studni.

W tym drewnianym kościele, którego już nie ma, zapłonęła po raz pierwszy tyszowiecka świeca. Było to w czasie szwedzkiego potopu. Ufundowali ją Szwedzi i miała zapłonąć na tłumnym, uroczystym nabożeństwie. Dziwili się ludzie, że taka wielka i że taka ciężka. Kroniki nie mówią, kto wykrył podstęp i dowiedział się, że w świecy jest śmierć. Kroniki nie odnotowały, kto zgasił świecę wypełnioną kilkudziesięcioma funtami prochu. Ludzie — znają legendę. Przenieśli ją w tyszowieckich świecach przez trzy wieki. Zamienili je w wotum wdzięczności i w symbol wytrwania. Każdy cech — a poza przepotężnym cechem szewców, był w Tyszowcach także cech stelmachów, kowali i innych wytwórców dóbr potrzebnych ludziom i zwierzętom — otóż każdy cech lał dla siebie świece. Te ogromne, ciężkie, na 5 metrów długie i takie mniejsze, które przed procesją roznosi cechowym cechowy „bratczyk”.

— Jak to roznosi? Przecież cechów nie ma.

— A skąd pan wie? — powątpiewa adiunkt z Instytutu Chemii UMCS, Kazimierz Jurkiewicz. — Skąd pan wie, że nie ma, jeżeli nawet my nie wiemy — pyta docent Kowalski z Zakładu Mikrobiologii Ogólnej. — W każdym bądź razie dziesięć lat temu były na sto procent — twierdzą obaj, zgodnie. I nie wiedzą tylko jak to było przez te ostatnie dziesięć lat, bo nie jeździli na święta.

Cechowe świece — wysmukłe stożki, niezwykle wydłużone woskowe kolumny — stoją dzisiaj pod kościelnym chórem. Przypominają o potopie i konfederacji. Przypominają też o tym, że kiedy na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych umilkły stępy do mielenia dębowej kory w trzystu szewskich warsztatach — Tyszowce zaczęły pić na umór. Może dlatego, że zamilkły również cechowe prawa określające co jest godne, a co jest niegodne członka cechu. A może z rozpacz.

Ostatnio czyni się starania, aby cechowe świece na powrót wyprowadzić spod chóru przed wielki ołtarz.

ŻEBY PAMIĘĆ UTRWALIĆ

Była śmierć w świecy, ale świeca przemieniła się w symbol przetrwania. Była śmierć na żydowskim cmentarzu, ale to pod Tyszowcami, w Turkowicach przeżyły dzieci uratowane z warszawskiego getta. Przywieźli je tu, do schroniska prowadzonego przez siostry służebniczki, Jerzy Zawieyski i Jan Dobraczyński. Czy dużo było tych dzieci? Pewnie ze czterdzieści. Dokładnie ustalić trudno, chociaż można, bo przecież te dzieci są także absolwentami tyszowieckiego liceum. Skończyły je po wojnie, bo po wojnie dopiero mogło ono stać się.

Piszę stać się, a nie powstać, bo powstało wcześniej. Z ludzkiej wiary. Nie można dzisiaj ustalić dokładnie kiedy powstało i nie można dokładnie określić punktu, w którym powstało. Na pewno było to po Stalingradzie i na pewno było to w lesie Podbór. Spotkali się tam trzech ludzi: ksiądz doktor Edward Kołszut, Edmund Michałkiewicz i Antoni Piprowski.

Wszyscy z Tyszowiec i wszyscy z AK, bo las Podbór do AK należał. Las Lipowiec, po drugiej stronie Huczwy, należał do UPA.

Kołszut, Michałkiewicz i Piprowski złożyli przysięgę, że po wojnie założą w Tyszowcach gimnazjum. Piprowski nie przeżył. W dziele pt. „Zamojszczyzna — Sonderlaboratorium SS” w tomie II, na stronie 414 są o nim trzy zdania: „*Antoni Piprowski, nauczyciel z Tyszowiec. Zawsze pogodny i uśmiechnięty, nawet w obozie starannie ubrany i dbający o wygląd zewnętrzny. Zginął na Majdanku*”.

— Największym optymistą był ksiądz Kołszut — zapewnia mnie w rozmowie po „wieczorze wspomnień i kolacji oraz zabawie tanecznej” jeden z uczestników tego wieczoru, kolacji i zabawy Kazimierz Wojnarowski. Wczoraj, na placu, na dźwięk jego nazwiska zerwał się huragan braw,

— Więc tak: ksiądz Kołszut widział wszystko na różowo, no i zebraliśmy się zaraz po wojnie. To znaczy: po wojnie tu, na wschód od Wisły, bo był rok 1944.

Tadeusz Sienkiel, nauczyciel tyszowieckiego liceum od lat 27 ustalił, że w spotkaniu — na którym powołano komitet założycielski — uczestniczyli: August Dudziński, pseudo z AK „Dzan”; Paweł Kowalski, magister farmacji; Edward Kołszut, ksiądz, doktor, pseudo z AK „Skowronek”; Henryk Wiechowski, kierownik szkoły powszechnej; Edmund Michałkiewicz, nauczyciel; Józef Zarębski, prawnik, przedwojenny wójt; Rogowski o imieniu dzisiaj nieznanym i Kazimierz Wojnarowski, uciekinier ze Lwowa, lekarz weterynarii.

To właśnie Wojnarowski pojechał do Lublina. Dano mu na tę podróż furmankę, bo to z Tyszowiec do Lublina będzie ze sto trzydzieści kilometrów i list od księdza Kołszuta. Z listem zgłosił się Wojnarowski do biskupa Choromańskiego. Biskup dał mu list polecający do kuratorium. No i z kuratorium przywiózł Wojnarowski zezwolenie na uruchomienie pierwszego w powojennej Polsce gimnazjum. To wszystko.

NO TO NIECH BĘDZIE: KONFEDERACJA

Tadeusz Sienkiel obliczył, że z tyszowieckiego liceum wyszło 1844 absolwentów. Jeszcze trochę, a ich liczba zrówna się z liczbą mieszkańców Tyszowiec. Dokąd poszli? W świat: do Lublina najwięcej, do Warszawy też dużo, do Gdańska, trochę mniej, ale są i w Łodzi, i w Poznaniu, i w Szczecinie, i gdzie ich nie posiał. Niektórzy zostali w Tyszowcach. Na przykład Marysia Piprowska po medycynie wróciła. Na przykład syn Michałkiewicza, też po medycynie i też wrócił. Na co szli? Przede wszystkim na kierunki pewne, a więc na medycynę, prawo, ekonomię, leśnictwo. Dużo jest księży, bo pewnie ze dwudziestu, a wśród nich ksiądz Roman Kościółko, który zajmuje się budową świątyni pokoju, jaka ma być wzniesiona na terenie obozu śmierci w Majdanku. Dużo wojskowych. Sporo naukowców. Na przykład profesor Grabiec w Poznaniu, na przykład docent Kowalski w Lublinie.

— Zdolni byli czy tacy ambitni, że — jak wynika z oświadczenia obecnej dyrektorki, Felicji Skiby — około 60 procent absolwentów dostawało się na wyższe studia.

— Wie pan co? Kiedy ja studiowałam, to koledzy z Puław czy Kazimierza dziwili się bardzo, że tak nas dużo. Z tych Tyszowiec. To znaczy, dokładnie biorąc, nie tylko z tych kilku ulic na krzyż, ale z Wojciechówki, Podboru, Dębiny, Majdanu, Kłątów, Zamłynia, Perespy, Tuczap, Czartowca, Mikulina, Turkowic. I z wielu innych wsi. Bo to jest, proszę pana, w 99 procentach chłopskie liceum.

Tak mi powiedział w Lublinie docent Kowalski. Spotkany na zjeździe absolwent, ustalony w funkcji jako kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KW PZPR w Lublinie, Maciej Karczmarski, jest trochę ostrożniejszy:

— 99 to może przesada. Ale ponad dziewięćdziesiąt, to na pewno.

Barbara Pietkiewicz ustaliła, że w Tyszowcach były ciekawe i nieciekawe posady. Do ciekawych zaliczyła posadę pastucha, masarza, mleczarza, magazyniera. Do nieciekawych posadę sprzątacza, piekarza, krawcowej i szewca. Ale ile tych posad było w Tyszowcach? Przez ostatnie trzydzieści parę lat? Wyodrębniła też posadę urzędnika i napisała, że to „posada znośna pod warunkiem, że się ma kawałek ziemi”. Podobnie — nauczyciele. „Więc każdy już zadomowiony ma działkę, albo pole (...) Żyją, orzą, uczą (. .)”.

No tak. Ale to docent Kowalski pamięta, że rolnictwo zarabia od niedawna, a kiedyś wybór był taki: „albo cipię w Tyszowcach czy pod Tyszowcami — albo skończyć liceum i iść dalej, w świat”.

Szli zatem z chłopskim uporem i z szewską pasją. Za pancerz służyła im historia. Brali trochę z jej blasku, alby tym blaskiem osłonić się przed kompleksem gorszości. Przydawały się Grody Czerwieńskie, huty tyszowieckie, legendarne świece i fakt rzeczywisty, ważny: konfederacja.

Było to 29 grudnia 1655 roku. Stały w Tyszowcach wojska Stanisława Potockiego, Stanisława Lanckorońskiego i Pawła Sapięhy oraz wojska litewskie pod wodzą Kazimierza Żeromskiego, Konstantego Kotowskiego, Stanisława Lipnickiego i Samuela Kmicica, który pod piórem Sienkiewicza zmienił życiorys i bagaż wojennych przygód, aby zostać panem Andrzejem. Do wojsk dołączyła szlachta z okolicznych ziem. Do szlachty — osoby niższego stanu, którym akt konfederacji zapewnił dostęp do prerogatyw szlacheckich. Konfederaci ogłosili, że zrywają z Karolem Gustawem, „*niweczą wszelkie jego czyny i ogłaszają jego stronników wrogami*”. Joachim Lelewel w swojej historii zapisał, że po konfederacji „wszyscy doznali, że Polska żyje w całości”.

Jak się tym nie chlubić? Jak do tego nie nawiązywać, gdy stoi przed tobą huf zbrojny w tytuły profesorów, docentów i doktorów, w funkcje dyrektorów, prezesów i kierowników, w szarże pułkowników i kapitanów? Odziany dostatnio i modnie, albo ponadczasowo, w czarne sutanny i zielone mundury? Gdy w okolicach szkoły parkuje w dniu zjazdu ponad sto samochodów, a na podwórkach pewnie dwa razy tyle? Więc prawie krzyczy Andrzej Bartosz: „nowa konfederacja, bracie, nowa konfederacja”, a jego młodszy brat z lodowatym spokojem odpowiada: „no pewnie”.

* * *

I tak zbliżamy się do ostatniego punktu programu, w którym przewidziano, że od godziny 12.15 do 14.15 odbywać się będzie „inauguracyjne posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Tyszowieckiej”. Oczywiście — w gmachu LO”. Na posiedzeniu wybrano Zarząd, Komisję Rewizyjną i Sąd Koleżeński. Uchwalono też, że koła TPZT powstaną w Warszawie i w Gdańsku. Na prezesa został wybrany docent doktor Mieczysław Kowalski z Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Ponieważ było już mało czasu do odjazdu — umówiłem się z nim w Lublinie. Mieliśmy porozmawiać o tym, że w Tyszowcach po raz pierwszy w dziejach powstało Towarzystwo Przyjaciół Ziemi

Tyszowieckiej i że pan prezes jest absolwentem z trzeciej, powojennej matury w tyszowieckim liceum.

PS

Reportaż uzyskał II nagrodę w ogólnopolskim konkursie pod hasłem „Barwy współczesności” ogłoszonym przez redakcję „Tygodnika Kulturalnego” wspólnie z Ludową Spółdzielnią Wydawniczą i Klubem Kultury Chłopskiej.

Pierwodruk: „Sztandar Ludu”, 3 maja 1985, s. 3